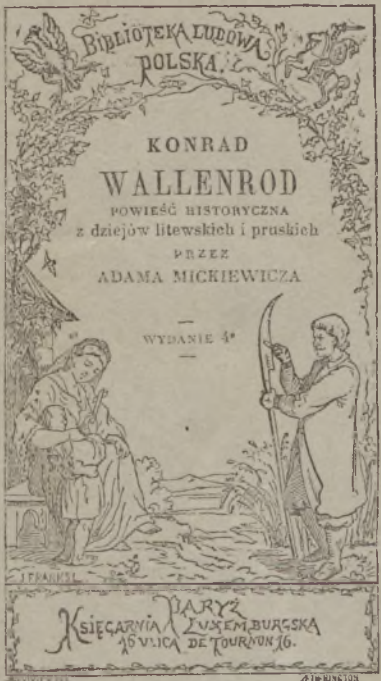

KONRAD

WALLENROD

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
z dziejów litewskich i pruskich

PRZEZ

ADAMA MICKIEWICZA

WYDANIE 4-e

KSIĘGARNIA
PARYŻ
LUXEMBURSKA
16 ULICA
DE TOURNON 16.

BIBLIOTEKA LUDOWA POLSKA.

KONRAD WALLENROD

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
z dziejów litewskich i pruskich

PRZEZ

ADAMA MICKIEWICZA

WYDANIE 4°

PARYŻ
KSIĘGARNIA LUXEMBURGSKA
16 ULICA DE TOURNON 16.

[1881]

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach
103150

Poezya, jak ją dotychczas pojmowano powszechnie, dzisiaj już zamknięta. Źródła dawniejszych i późniejszych poetów wyczerpane. Nie przeto aby teraz zbywało na prawdziwych poetach; owszem, żyje ich może więcej i są więksi niż kiedykolwiek, ale że poezya, ta część integralna bytu narodów, musi niezbędnie wraz z towarzyszkami swojemi, snycerstwem, malarstwem, życiem domowem, polityką, prawodawstwem it.d. uledz naturalnej kolei rzeczy ludzkich. Musi albo w popiołach swoich ogrzać nowego feniksa, albo, podobnie odłamkom bóstw mytologicznych wygrzebywanych z pod zwalisk zniszczonych świątyń, czekać w progu nowej budowy na dalsze losy.

Ten rys wstępny zdał się nam być potrzebnym do zrozumienia, dla czego niniejszy zbiór poezyi wielkiego wieszcza naszego uważamy za zupełnie skończony. Tworzy on osobną epokę w życiu poety, w życiu Polski. To co dotąd leżało w przeczuciu ich twórcy, stoi dziś przed nim w całym ogromie kolosu widomej rzeczywistości swojej, odtąd *poezya słowo* wcieliła się w *poezyę czyn*. Bo najwyższa poezya jestto najwyższa prawda, obie idą z jednego źródła swojego, z natchnienia.

Z wyższego dopuszczenia Gustaw umiera tylko dla przeszłości. Niemęzki nóż zakochanego młodzika, zamienił się w miecz zemsty godzien rąk męża Wallenroda. Poemat *Wallenrod* wyszedł po raz pierwszy w 1828 roku, właśnie kiedy już w belwederskim gmachu, nieletni podchorąży patrzał na wszystko co go tam otaczało, oczyma wychowańca Waltera rznącego kobiercc i tłuczącego zwierciadła w pałacu Wirycha. Tak zawsze się działy i dzieją wielkie wypadki. Naprzód Bóg każe świntowi ducha wykonać swoje: *stań się:* a potem powołani ludzie, wprzód nim ten czyn oblecze się w formy ziemskie, widzą go w swojem przeczuciu. Powstanie Warszawskie nie powiodło się, bo nieszczęśliwy naród przystępował

do ofiary czynnego słowa, w części tylko tonu przeznaczonego dla swego zbawienia. Wallenrod nie wydarł z rąk cudzoziemczych Ojczyzny swojej, bo środków do tego szukał gdzie indziej niż w Bogu. Ale zło nie zwyciężyło! Wskrzeszony Konrad, obudził się w celi wileńskiego więźnia i poniósł jęk milionów przed tron Wszechmocnego, zapytał go o przyczynę katuszy swojego narodu.

Bóg już odpowiedział Konradowi...

ALEKSANDER CHODŹKO

Paryż, dnia 16 Stycznia 1844 roku.

N. B. Jestto przedruk przedmowy do wydania Paryzkiego 1844 r. — pism kompletnych Adama Mickiewicza.

Pierwsze wydanie wyszło w Petersburgu drukiem Karola Kraya. 1828 r. Cenzura wykreśliła z niego jeden wiersz;

Tyś niewolnik, jedyna broń niewolników jest zdrada. str. 32.

Osoby, którym poemat dedykowany pochodziły z Kijowa; zaprzyjaźnił się z niemi autor w Odessie i znalazł je w Moskwie gdy kończył tam poemat swój.

PRZEDMOWA AUTORA

Naród Litewski, składający się z pokoleń Litwinów, Prusów i Lettów, nieliczny, osiadły w kraju nierozległym, niedosyć żyznym, długo Europie nieznajomy, około trzynastego wieku najazdami sąsiadów wyzwany był do czynniejszego działania. Kiedy Prusowie ulegli orężowi Teutonów, Litwa, wyszedłszy ze swoich lasów i bagnisk, niszczyła mieczem i ogniem okoliczne państwa i stała się wkrótce straszną na północy. Dzieje nie wyjaśniły jeszcze dostatecznie, jakim sposobem naród, tak słaby i tak długo obcym hołdujący, mógł odrazu oprzeć się i zagrozić wszystkim swoim nieprzyjaciołom, z jednej strony prowadząc ciągłą i morderczą z Zakonem Krzyżowym wojnę, z drugiej łupiąc Polskę, wybierając opłaty u Nowogrodu Wielkiego, i zapędzając się aż na brzegi Wołgi i półwysep Krymski. Najświetniejsza epoka Litwy przypada na czasy Olgierda i Witolda, których władza rozciągała się od Bałtyckiego do Czarnego morza. Ale to ogromne państwo, zbyt nagle wzrastając, nie zdołało wyrobić w sobie wewnętrznej siły, którąby różnorodne jego części spajała i ożywiała. Narodowość litewska, rozlana po zbyt obszernych ziemiach, straciła swoją właściwą barwę. Litwini ujarzmili wiele pokoleń Ruskich, i weszli w stosunki polityczne z Polską. Słowianie, oddawna już chrześcianie, stali na wyższym stopniu cywilizacyi; a lubo pobici lub zagrożeni od Litwy, powolnym wpływem odzyskali moralną przewagę nad silnym ale barbarzyńskim ciemiężycielem, pochłonęli go, jak Chiny najezdców Tatarskich. Jagiellonowie i możniejsi ich wassale, stali się Polakami; wielu książąt Litewskich na Rusi, przyjęło religię, język i narodowość Ruską. Tym sposobem Wielkie Księstwo Litewskie przestało być litewskiem, właściwy naród litewski ujrzał się w dawnych swoich granicach, jego mowa przestała być językiem dworu i możnych, zachowała się tylko między pospólstwem. Litwa przedstawia ciekawy widok ludu, który w ogromie swoich zdobyczy zni-

knął, jak strumyk po zbytecznym wylewie opada, i płynie węższem niżeli pierwej korytem.

Kilka już wieków zakrywa wspomniane tu zdarzenia. Zeszły ze sceny życia politycznego i Litwa i najsroższy jej nieprzyjaciel Zakon krzyżowy; stosunki narodów sąsiednich zmieniły się zupełnie; interes i namiętności, które zapalały ówczesną wojnę, już wygasły; nawet pamiątek nie ocaliły pieśni gminne. Litwa jest już całkiem w przeszłości: jej dzieje przedstawiają z tego względu szczęśliwy dla poezyi zawód, że poeta, opiewający ówczesne wypadki, samym tylko przedmiotem historycznym, zgłębieniem rzeczy i kunsztownem wydaniem zajmować się musi, nie przywołując na pomoc interesu, namiętności lub mody czytelników. Takich właśnie przedmiotów kazał poszukiwać Szyller:

« Was unsterblich im Gesang soll leben,
Muss im Leben untergehen. »

« Co ma ożyć w pieśni, zaginąć powinno w rzeczywistości. »

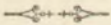

KONRAD WALLENROD

Dovete adunque sapere come sono due generazioni da combattere — bisogna essere volpe e leone.

Bonawenturze i Joannie Zaleskim na pamiątkę lata tysiąc ośmset dwudziestego siódmego poświęca
AUTOR.

WSTĘP

Sto lat mijało, jak zakon krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił w okowy,
Lub ziemię oddał a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,
Więził, mordował, aż do granic Litwy,

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty,
I szumią lasy, pomieszkania bogów;
Po drugiej stronie, na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry objąć i garnąć pod siebie.

Z tej strony, tłumy litewskiej młodzieży,
W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,
Snują się, śledząc niemieckich obrotów.
Po drugiej stronie, w szyszaku i zbroi,
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci i owi pilnują przeprawy.
Tak Niemen, dawniej sławny z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierżawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności;
I nikt, bez straty życia lub swobody,

Nie mógł przestąpić zakazanej wody.
Tylko gałązka litewskiego chmielu,
Wdzięcząc pruskiej topoli nęcona,
Pnąc się po wierzbach i po wodnem zielu.
Śmiało, jak dawniej, wyciąga ramiona,
I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem.
Tylko słowiki Kowieńskiej dąbrowy,
Z bracią swoimi z Zapuszczańskiej góry,
Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy,
Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,
Latają w gości na spólne ostrowy.

A ludzie? — ludzi rozdzieliły hoje!
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość
Poszła w niepamięć: tylko czasem miłość
I ludzi zbliża... Znałem ludzi dwoje.

O Niemnie! wkrótce runą do twych brodów
Śmierć i pożogę niosące szeregi;
I twoje dotąd szanowane brzegi
Topor z zielonych ogołoci wianków,
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodów;
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty.
Wszystko rozerwie nienawiść narodów:
Wszystko rozerwie... Lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach Wajdeloty.

I

OBIÓR

Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono:
Dzień uroczysty w Krzyżowem Zakonie;
Zewsząd Komtury do stolicy spieszą,
Kędy zebrani w kapituły gronie,
Wezwawszy Ducha Świętego wrodzę,
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą,
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,
Bo wielu mężów staje do zawodu:
A wszyscy równie wysokiego rodu,
I wszystkich równe w zakonie zasługi;

Dotąd, powszechna między bracią zgoda
Nad wszystkich wyżej stawi Wallenroda.

On cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
Sławą napełnił zagraniczne domy :
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,
Czy Ottomana przez morskie odmęty,
W bitwach na czele, pierwszy był na murach,
Pierwszy zahaczał pohańców okręty;
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.

Nie tylko między krzyżowemi roty
Wsławił orężem młodociane lata :
Zdobią go wielkie chrześcijańskie cnoty,
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie słynął w przydwornym nacisku
Gładkością mowy, składnością ukłonów;
Ani swej broni dla podłego zysku
Nie przedał w służbę niezgodnych baronów.
Klasztornym murom wiek poświęcił młody;
Wzgardził oklaski i górne urzędy;
Nawet zacniejsze i słodsze nagrody,
Minstrelów hymny i piękności względy,
Nie przemawiały do zimnego ducha.
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,
Na krasne lica pogląda zdaleka,
Od czarującej rozmowy ucieka.

Czy był nieczułym, dumnym z przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem — bo choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia —
Trudno odgadnąć. Zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał,
I sypał damom grzecznych słówek krocie
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.
Były to rzadkie chwile zapomnienia...
I wkrótce, lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,

W nim obudzało wzruszenia namiętne ;
Słowa : Ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucyatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły ;
Słysząc je, znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły,
I pogrążał się w dumy tajemnicze.
Może, wspomniawszy świętość powołania,
Sam sobie ziemskich słodyczy zabrania.
Jednę znał tylko przyjaźni słodycze,
Jednego tylko wybrał przyjaciela.
Świętego cnotą i pobożnym stanem :
Był to mnich siwy, zwano go Halbanem.
On Wallenroda samotność podziela ;
On był i duszy jego spowiednikiem,
On był i serca jego powiernikiem.
Szczęśliwa przyjaźń! świętym jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.

Tak naczelnicy zakonnej obrady
Rozpamiętują Konrada przymioty.
Ale miał wadę — bo któż jest bez wady?
Konrad światowej nie lubił pustoty,
Konrad pijanej nie dzielił biesiady :
Wszakże zamknięty w samotnym pokoju,
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
Szukał pociechy w gorącym napoju
I wtenczas zdał się wdziewać postać nową,
Wtenczas twarz jego, bladą i surową,
Jakiś rumieniec chorowity krasił;
I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,
Które czas nieco skaził i przygasił,
Ciskały dawnych ogniów błyskawice :
Z piersi żałośne westchnienie ucieka,
I łzą perłową nabrzmiewa powieka,
Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,
Pieśni nucony cudzoziemską mową,
Lecz je słuchaczów serca rozumieją :
Dosyć usłyszeć muzykę grobową,
Dosyć uważać na śpiewaka postać ;
W licach pamięci widać natężenie,
Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie
Chcące z głębiny ziemnej coś wydostać :

Jakiż być może pieśni jego wątek?
Zapewne myślą w obłędnych pogoniach.
Ściga swą młodość na przeszłości łoniach...
Gdzież dusza jego? — w krainie pamiątek.

Lecz nigdy ręka, w muzycznym zapędzie,
Z lutni weselszych tonów nie dobędzie,
I lica jego, niewinnych uśmiechów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
Wszystkie uderza strony po kolei,
Prócz jednej strony — prócz strony wesela.
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
Oprócz jednego uczucia — nadziei.

Nieraz go bracia zeszli niespodzianie,
I nadzwyczajnej dziwili się zmianie:
Konrad zbudzony, zżymał się i gniewał,
Porzucał lutnię i pieśni nie śpiewał;
Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,
Coś Halbanowi szeptał pokryjomu,
Krzyczał na wojska, wydawał rozkazy,
Straszliwie groził, niewiadomu komu.
Trwożą się bracia... Stary Halban siada
I wzrok zatapia w oblicze Konrada,
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowejś tajemnej wymowy,
Czy coś wspomina, czyli coś doradza,
Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi:
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza
Oczy przygasza i oblicze studzi.
Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
Sprosiwszy pany, damy, i rycerze,
Rozłamie kratę żelaznego dworca,
Da hasło trąbą: wtem, królewskie zwierzę
Grzmi z głębi piersi, strach na widzów pada
Jeden dozorca kroku nie poruszy,
Spokojnie ręce na piersiach zakłada,
I lwa potężnie uderzy — oczyma;
Tym nieśmiertelnej talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

II

Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono,
Z obradnej sali idą do kaplicy:

Najpierwszy Komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono.
Nieszpornych modłów kapituła słucha,
I śpiewa hymny do Świętego Ducha.

HYMN

Duchu, Światło boże!
Gołąbko Syonu!
Dziś Chrześcijański świat, ziemne podnoże
Twojego tronu.
Widomą oświeć postacią,
I roztocz skrzydła nad Syońską bracią.
Z pod twych skrzydeł niech wystrzeli
Słonecznemi promień blaski,
I kto najświętszej godniejszy łaski,
Temu, niech złotym wieńcem skronie rozweseli
A padniem na twarz syny człowieka,
Temu, nad kim spoczywa twych skrzydeł opieka.
Synu Zbawicielu!
Skinieniem wszechmocnej ręki
Naznacz, kto z wielu
Najgodniejszy słynąć
Świętym znakiem twojej męki;
Piotra mieczem hetmanić żołnierstwu twej wiary
I przed oczyma pogaństwa rozwinąć
Królestwa twego sztandary:
A syn ziemi niech czoło i serce uniża
Przed tym na czyich piersiach błyśnie gwiazda krzyża.

Po modłach wyszli. Arcykomtur zlecił,
Spocząwszy nieco powracać do choru,
I znowu błagać, aby Bóg oświecił
Kapłanów, braci i mężów obioru.

Wyszli nocnemi orzeźwić się chłody:
Jedni zasiedli zamkowy krużganek,
Drudzy przechodzą gaje i ogrody.
Noc była cicha, majowej pogody;
Zdała niepewny wyglądał poranek.
Księżyc, obiegłszy błonie szafirowe,
Z odmiennem licem, z różnym blaskiem w oku,
Drzemiąc to w ciemnym, to w srebrnym obłoku,

Zniżał swą cichą i samotną głowę :
Jak dumający w pustyni kochanek,
Obiegłszy myślą całe życia koło,
Wszystkie nadzieje, słodycze, cierpienia,
To łzy wylewa, to spójrzy wesoło,
Wreszcie ku piersiom zmordowane czoło
Siłania, i wpada w letarg zamyślenia.

Przechadzką inni bawią się rycerze,
Lecz Arcykomtur chwil darmo nie traci :
Zaraz Halbana i celniejszych braci
Wzywa do siebie i na stronę bierze,
Aby zdaleka od ciekawej rzeszy,
Zasięgnąć rady, udzielić przestrogi.
Wychodzi z zamku, na równinę spieszy.
Tak rozmawiając, nic pilnując drogi,
Błądzili kilka godzin w okolicy,
Blizko spokojnych jeziora wybrzeży.
Już ranek; pora wracać do stolicy.
Stają... głos jakiś... zkąd?... z narożnej wieży :
Słuchają pilnie : — to głos pustelnicy.
W tej wieży dawno, przed laty dziesięciu,
Jakaś nieznana pobożna niewiasta,
Zdala przybywszy do Maryi miasta,
Czy ją natchnęło niebo w przedsięwzięciu.
Czy skażonego sumienia wyrzuty
Pragnąc ukoić balsamem pokuty,
Pustelniczego szukała ukrycia,
I tu znalazła grobowiec za życia.

Długo nie chcieli zezwalać kapłani :
Wreszcie stałością próżby przełamani,
Dali jej w wieży samotne schronienie.
Ledwie stanęła za święconym progiem,
Na próg zwalono ściegły i kamienie :
Została sama z myślami i Bogiem,
I bramę co ją od żyjących dzieli,
Chyba w dzień sądny odemkną anieli.

U góry małe okienko i krata,
Kędy pobożny lud siał pożywienie,
A niebo wietrzyk i dzienne promienie.
Biedna grzesznico! czyż nienawiść świata
Do tyla umysł skołatała młody,
Że się obawiasz słońca i pogody?

Zaledwie w swoim zamknęła się grobie,
Nikt jej nie widział przy okienku wieży,
Przyjmować w usta wiatru oddech świeży,
Oglądać niebo w pogodnej ozdobie,
I miłe kwiaty na ziemnym obszarze,
I stokroć milsze swoich bliźnich twarze.

Wiedziano tylko, że jest dotąd w życiu:
Bo nieraz jeszcze świętego pielgrzyma,
Gdy nocą przy jej błąka się ukryciu,
Jakiś dźwięk miły na chwilę zatrzyma:
Dźwięk to zapewne pobożnej piosenki.
I z pruskich wiosek, gdy zebrane dzieci
Igrają w wieczór u blizkiej dąbrowy
Natenczas z okna coś białego świeci,
Jak gdyby promyk wschodzącej jutrzenki:
Czy to jej włosa pukiel bursztynowy,
Czyli to połysk drobnej śnieżnej ręki.
Błogosławiącej niewiniątek głowy.
Komtur, tamtędy obróciwszy kroki,
Słyszy, gdy wieżę narożną pomijał:
— « Tyś Konrad?... Przebóg, spełnione wyroki!
Ty masz być mistrzem abyś ich zabijał!...
Czyż nie poznają?... Ukrywasz daremnie...
Chociażbyś jak wąż inne przybrał ciało:
Jeszczeby w twojej duszy pozostało
Wiele dawnego — wszak zostało we mnie!
Chociażbyś wrócił, po twoim pogrzebie,
Jeszcze Krzyżacy poznaliby ciebie... »
Słucha rycerstwo: to głos pustelnicy!
Spójrzą na kratę: zda się pochylona,
Zda się ku ziemi wyciągać ramiona —
Do kogóż?... Pusto w całej okolicy.
Zdaleka tylko jakiś blask uderza,
Nakształt płomyka stalowej przyłbicy,
I cień na ziemi... czyto płaszcz rycerza?
Już znikło... Pewnie złudzenie źrenicy,
Pewnie jutrzenki błysnął wzrok rumiany,
Po ziemi ranne przemknęły tumany.

— « Bracia! rzekł Halban, dziękujmy niebiosom:
Pewnie wyroki niebios nas przywiodły;
Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom.
Czy słyszeliście? wieszczba o Konradzie:

Konrad dzielnego imie Wallenroda!
Stójmy, brat bratu niechaj rękę poda;
Słowo rycerskie: na jutrzejszej radzie,
On mistrzem naszym! » — « Zgoda, krzykną, zgoda! »

I poszli krzycząc. Długo po dolinie
Odgłos tryumfu i radości bije:
« Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!
Niech żyje zakon, niech pogaństwo zginie! »

Halban pozostał mocno zamyślony;
Na wołających okiem wzgardy rzucił,
Spójrzał ku wieży, i cichemi tony
Taką piosenkę odchodząc zanócił:

PIEŚŃ

Wilija, naszych strumieni rodzica.
Dno ma złociste i niebieskie lica:
Piękna Litwinka co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilija w miłej Kowieńskiej dolinie,
Śród tulipanów i narcyzów płynie:
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów,
Od róż krańniejszy i od tulipanów.

Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna swego oblubieńca;
Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza;

I ciebie równie przychodzień oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!
I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza, ale sama jedna...

Serce i potok ostrzegać daremnie!
Dziewica kocha, i Wilija bieży:
Wilija znikła w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczej wieży...

III

Gdy mistrz praw świętych ucałował księgi,
Skończył modlitwę i wziął od Komtura
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi;
Wzniósł dumnie czoło, chociaż troski chmura
Ciążyła nad niem; w koło okiem strzelił,
W którem się radość napół z gniewem żarzy.
I, niewidziany gość na jego twarzy,
Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy:
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.

Ten zapał mistrza, to groźne oblicze
Napełnia serca otuchą, nadzieją;
Widzą przed sobą bitwy i zdobycze,
I hojnie w myśli krew pogańską leją.
Takiemu władcy któż dostoi kroku?
Któż się nie zlęknie jego szabli wzroku?
Drżyjcie Litwini! już się chwila zbliża,
Gdy z murów Wilna błyśnie znamię krzyża.

Nadzieje próżne. — Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały drugi rok w pokoju,
Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie
Ani sam walczy, ani ślę do boju:
A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opacznie.
Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów,
Że bracia gwałcą sprzysiężone śluby:
Módlmy się woła, wyrzeczmy się skarbów,
Szukajmy w cnotach i pokoju chluby.
Narzuca posty, pokuty, ciężary,
Uciech, wygody niewinnej zaprzecza,
Lada grzech ściga najsroższemi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
Omijał bramy zakonnej stolicy,
Teraz do koła wsi co noc podpala,
I lud bezbronny chwyta z okolicy;
Pod samym zamkiem dumnie się przechwala,
Że idzie na msze do Mistrza kaplicy —
Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.

Kiedyż być może czas lepszy do wojny!
Litwa szarpana wewnętrzną niezgodą;
Ztąd dzielny Rusin, ztąd Lech niespokojny,
Ztąd Krymskie hany lud potężny wiodą.
Witold, zepchnięty od Jagiełły z tronu,
Przyjechał szukać opieki Zakonu;
W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka,
I wsparcia dotąd nadaremnie czeka.

Szemrają bracia, gromadzi się rada:
Mistrza nie widać, Halban stary bieży.
W zamku, w kaplicy nie znalazł Konrada:
Gdzież on? Zapewne u narożnej wieży.
Śledzili bracia nocne jego kroki;
Wszystkim wiadomo: każdego wieczora.
Gdy ziemię grubsze osłaniają mroki,
On idzie błądzić po brzegach jeziora
Albo klęczący, przyparty do muru,
Okryty płaszczem aż do białej zorzy
Świeci z daleka, jak posąg z marmuru,
I przez noc całą senność go nie zmorzy.
Często na cichy odgłos pustelnicy
Wstaje, i ciche daje odpowiedzi;
Brzmienia ich zdala ucho nie dośledzi,
Lecz widać z blasku wstrząśnionej przyłbicy,
Rąk niespokojnych, podniesionej głowy,
Że jakieś ważne toczą się rozmowy.

PIEŚŃ Z WIEŻY

Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?
Czy już tak długie przepłakałam lata,
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
Że od mych westchnień pordzawiała krata?
Gdzie łza upadnie, w zimny głaz przecieka:
Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga,
Ten ogień żywią pobożne kapłany;
Jest wieczne źródło na górze Mendoga,
To źródło żywią śniegi i tumany:
Nikt moich westchnień i łez nie podsyca
A dotąd boli serce i źrenica.

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
Zamek bogaty, kraina wesoła,

Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia :
Spokojność, nakształt cichego anioła,
We dnie i w nocy, na polu i w domie
Strzegła mnie zbliska, chociaż niewidomie.

Trzy piękne córki było nas u matki,
A mnie najpierwej żądano w zamężcie;
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki :
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście?
Piękny młodzieńcze! na coś mi powiedział
To, o czem w Litwie nikt pierwej nie wiedział?

O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
Kamiennych miastach, kędy wiara święta,
Gdzie lud w bogatych modli się kościołach,
I kędy dziewic słuchają książęta,
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
Czuli w miłości, jak nasi pasterze.

Gdzie człowiek, zimne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po roskosznem niebie...
Ach, ja wierzyłam... bo niebieskie życie
Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie!
Ach, odtąd marzę w dobrych i złych losach,
Tylko o tobie, tylko o niebiosach.

Krzyż na twych piersiach oczy mi weselił,
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło..!
Niestety! z krzyża gdy piorun wystrzelił,
Wszystko dokoła ucichło, zagasło!...
Nic nie żałuję, choć gorzkie łzy leję,
Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję...

Nadzieję, cichem powtórzyły echem
Brzegi jeziora, doliny i knieje,
Zbudził się Konrad, i z dzikim uśmiechem :
« Gdzież jestem, wołał, tu słychać — nadzieje?!...
Na co te pieśni?... Pomnę twoje szczęście :
Trzy piękne córki było was u matki,
Ciebie najpierwej żądano w zamężcie...
Biada, o biada wam nadobne kwiatki!
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliźnie się błędną,
Usechną trawy i róże uwiędną,
I będą żółte, jako piersi gadu!

Uciekaj myślą i dni przypominaj,
Którebyś dotąd pędziła wesoło,
Gdyby... Ty milczysz?... Śpiewaj i przeklinaj;
Niechaj łza straszna, co głazy przecieka,
Nie ginie darmo; zdejmę szyszak z głowy,
Tu niechaj spadnie, niech mi pali czoło;
Tu niechaj spadnie, jam cierpieć gotowy:
Chcę znać zawczasu, co mię w piekle czeka. »

GŁOS Z WIEŻY.

« Daruj mój miły, daruj mi, jam winna.
Przyszedłeś późno, tęskno było czekać,
I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna...
Precz mi z tą pieśnią!... Miałażbym narzekać?
Z tobą mój luby, z tobąśmy przeżyli
Znikomą chwilę: lecz tej jednej chwili
Nie będę mieniać z całą ziemian zgrają
Na ciche życie przepędzone w nudzie!
Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie
Są jako konchy, co się w bagnie tają:
Ledwie raz na rok, falą niepogody
Wypchnięte, z mętnej pokażą się wody,
Otworzą usta, raz westchną ku niebu,
I znowu wrócą do swego pogrzebu.
Nie, jam na takie szczęście nie stworzona!
Jeszcze w ojczyznie cicho pędząc życie,
Nieraz w pośrodku towarzyszek grona
Za czemś tęskniłam i wzdychałam skrycie,
I czułam serca niespokojne bicie.
Nieraz z poziomej uciekałam łąki,
I na najwyższem stanąwszy pagórku,
Myśliłam sobie: gdyby te skowronki
Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,
Poszłabym z niemi, i tylko z tej góry
Chciałabym jeden mały kwiat uszczykąć,
Kwiat niezabudki, a potem za chmury
Lecieć wysoko! wysoko! — i zniknąć...
Tyś mię wysłuchał! Ty, skrzydły orlemi,
Monarcho ptaków, wzniosłeś mię do siebie!
Teraz, skowronki, o nic was nie proszę:
Bo gdzież ma lecieć, po jakie roskosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi! »

KONRAD.

Wielkość i znowu wielkość, mój aniele!
Wielkość dla której jęczymy w niedoli!
Kilka dni jeszcze, niech serce przeboli,
Kilka dni tylko — już ich tak niewiele...
Stało się! próżno po czasie żałować,
Płaczmy, — lecz niechaj drżą nieprzyjaciele,
Bo Konrad płakał — ażeby mordować.
Pocóż tu przyszła, poco moja droga!
Z klasztornych murów, z świątyni pokoju?
Jam cię poświęcił na usługi Boga:
Nie lepiejż było w świętych jego murach,
Zdala odemnie płakać i umierać,
Niż tu w krainie kłamstwa i rozboju,
W grobowej wieży, w powolnych torturach
Konać i oczy samotne otwierać;
I przez niezłomne tej kraty okucia
Pomocy żebrać... a ja słuchać muszę,
Patrzeć na długą skonania katuszę,
Stojąc z dalecka i kląć moją duszę,
Że w niej są jeszcze ostatki uczucia!... »

GŁOS Z WIEŻY.

« Jeśli narzekasz, nie przychodź tu więcej?
Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcej,
Już nie usłyszysz! już okno zamykam:
Spuszczę się znowu w moją wieżę ciemną,
Niechaj w milczeniu gorzkie łzy połykam.
Bądź zdrów na wieki, bądź zdrów, mój jedyny!
I niech zaginie pamięć tej godziny,
W której nie miałeś litości nademną! »

KONRAD.

« Więc ty miej litość! Ty jesteś aniołem
Stój! a jeżeli prożba cię nie wstrzyma,
O ten róg wieży uderzę się czołem.
Będę cię błagał skonaniem Kaima... »

GŁOS Z WIEŻY.

« O miejmy litość, nad sobą samemi!... »
Pomnij, mój luby, że jak ten świat wielki,
Dwoje nas tylko na ogromnej ziemi.
Na morzach piasku dwie rosy kropelki;
Że lada wietrzyk, z zimnego padołu
Zniknięm na zawsze: ach, gińmyż pospołu!...
Nie na to przyszłam, ażeby cię dręczyć;

Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,
Bo niebu serca nie śmiałam zaręczyć,
Póki w niem ziemski panował kochanek.
Pragnęłam zostać w klasztorze, i skromnie
Oddać dni moje zakonnic usłudze :
Lecz tam, bez ciebie, wszystko w około mnie
Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze...
Wspomniałam sobie, że po latach wielu,
Miałeś powrócić do Maryi grodu,
Szukając zemsty na nieprzyjacielu
I broniąc sprawy biednego narodu...
Kto czeka, lata myślami ukraca;
Mówiłam sobie : on już może wraca,
Może już wrócił... czyż nie wolno żądać,
Gdy mam żyjąca zakopać się w grobie,
Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,
Abym przynajmniej umarła przy tobie?...
Pójdę więc, rzekłam, w pustelniczym domku,
Około drogi, na skały ułomku,
Zamknę się sama : może rycerz jaki
Koło mej chatki przechodzący blizko,
Wymówi czasem kochanka nazwisko;
Może pomiędzy obcemi szyszaki
Ujrzę znak jego; niech odmieni zbroje,
Niechaj na tarczy obce godła kładnie,
Niech twarz odmieni... jeszcze serce moje,
Zdaleka nawet kochanka odgadnie;
I gdy go ciężka powinność przymusza
Wszystko dokoła wyniszczać i krwawić,
Wszyscy go przeklną — będzie jedna dusza,
Co mu zdaleka śmie pobłogosławić!
Tu mój obrałam domek i grobowiec,
W cichej ustroni, kędy świętokradzki
Mych jęków nie śmie podsłuchać wędrowiec.
Ty, wiem, że lubisz samotne przechadzki;
Myślałam sobie : on może z wieczora
Wybieży zdala od swych towarzyszy,
Pomówić z wiatrem i z falą jeziora,
Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy...
Niebo spełniło niewinne życzenia!
Przyszedłeś, moje zrozumiałeś pienia!...
Dawniej prosiłam, by mię twym obrazem
Sny pocieszały, choć obraz był niemy :

Dziś, ile szczęścia! Dziś możemy razem —
Razem zapłakać... »

KONRAD.

« I cóż wypłaczemy?
Płakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem
Na wieki wieków z twojego objęcia;
Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,
Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.
Już uwieńczone zbyt długie męczeństwo!
Teraz stanąłem u życzeń mych celu,
Mogę się zemścić na nieprzyjacielu:
A ty mi przyszłaś wydzierać zwycięstwo!...
Odtąd jak znowu z okna twej wieżycy
Spojrzałaś na mnie, w całym kręgu świata
Znowu nic nie ma dla mojej źrenicy,
Tylko jezioro i wieża i krata...
W koło mnie wszystko wre wojny rozruchem:
Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku,
Ja niecierpliwem, wytężonem uchem
Szukam ust twoich anielskiego dźwięku,
I dzień mój cały jest oczekiwaniem.
A gdy wieczornej doczekam się pory,
Chcę ją przedłużyć rozpamiętywaniem;
Ja życie moje liczę na wieczory!
Tymczasem Zakon spoczynkowi łaje,
O wojnę prosi, własnej żąda zguby,
I mściwy Halban wytchnąć mi nie daje:
Albo dawniejsze przypomina śluby,
Wyrznięte sioła i zniszczone kraje;
Albo gdy nie chcę skargi jego słuchać,
Jednem westchnieniem, skinieniem, oczyma,
Umie przygasłą chęć zemsty rozdmuchać...
Wyrok mój zda się przybliżać do końca:
Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma.
Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca:
Z różnych stron świata niezliczone chmury
Pobożny zapał w pole nagromadził,
Wszyscy wołają, abym ich prowadził
Z mieczem i krzyżem na Wileńskie mury...
A przecież — wyznam ze wstydem! w tej chwili
Kiedy się ważą narodów wyroki:
Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,
Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli...

Młodości! jakże wielkie twe ofiary!
Jam miłość, szczęście, jam niebo za młodu
Umiał poświęcić dla sprawy narodu,
Z żalem lecz z męztwem! — a dzisiaj, ja stary,
Dzisiaj powinność, rospacz, wola Boża
Pędzą mnie w pole : a ja siwej głowy
Nie śmiem oderwać od tych ścian podnoża,
Ażeby twojej nie stracić — rozmowy!... »

Umilknął. Z wieży słychać tylko jęki;
W milczeniu długie przeciekły godziny;
Noc rozrzedniała, i promyk jutrzenki
Już zarumienił lica cichej wody;
Pomiędzy liściem drzemiącej krzewiny
Ze szmerem ranne przewiewały chłody,
Ptaszęta cichem ozwały się pieniem,
Umilkły znowu — i długiem milczeniem
Znać dają, że się zbudziły zawcześnie.
Konrad powstaje, wzniósł ku wieży czoło,
Długo na kratę pogląda boleśnie;
Słowik zanócił : Konrad na około
Spojrzał : już ranek; — opuścił przyłbicę,
W szerokie zwoje płaszcza twarz obwinął,
Skinieniem ręki żegna pustelnicę,
I w krzakach zginął.
Tak duch piekielny od wrót pustelnika
Na odgłos dzwonu porannego znika.

IV

UCZTA

Był dzień Patrona, uroczyste święto
Komtury z Braćmi do stolicy jadą;
Białe chorągwie na wieżach zatknięto :
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.

Sto białych płaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi :
To byli Bracia; a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Konrad na czele. Po lewicy tronu
Wziął miejsce Witold ze swemi hetmany;
Dawniej był wrogiem, dziś gościem Zakonu,
Przeciwko Litwie sojuszem związany.

Już Mistrz powstawszy daje uczty hasło ;
« Cieszmy się w Panu » Wnet puhary błysły,
« Cieszmy się w Panu ! » tysiąc głosów wrzasło,
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł, i na łokciu wsparty
Słuchał z pogardą nieprzystojnych gwarów,
Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.

« Cieszmy się, rzecze. Cóżto, bracia moi,
Także rycerzom cieszyć się przystoi ?
Zrazu wrzask pjany, a teraz szmer cichy...
Mamyż uczt ować jak zbójce lub mnichy ?

Inne zwyczaje były za mych czasów,
Kiedy na pełnem trupów bojowisku,
Śród gór Kastylskich lub Finlandzkich lasów
Przy obozowem paliśmy ognisku.

Tam były pieśni !... Między waszym gminem
Czyż nie ma barda albo menestrela,
Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli winem. »

Zarazem różni śpiewacy powstali ;
Tam Włoch otyły słowiczemi tony
Konrada męztwo i pobożność chwali ;
Owdzie Trubadur od brzegów Garony
Opiewa dzieje miłośnych pasterzy,
Zaklętych dziewic, i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzemał ; piosenki ustały ;
Nagle zbudzony przerwanym łoskotem,
Cisnął Włochowi trzos ładowny złotem :
« Mnie rzekł, jednemu śpiewałeś pochwały,
Jeden nie może dać innej nagrody ;
Weź i pójdź z oczu !... Ów Trubadur młody,
Który piękności i miłości służy,
Niechaj daruje, że w rycerskiem gronie
Dziewicy nie masz, coby mu na łonie
Wdzięczna przypięła marny kwiatek róży...

« Tu róże zwiędły... Innego chcę barda,
Zakonnik rycerz innej chcę piosenki :
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda

Jak hałas rogów i orężа szczęki,
I tak ponura jak klasztorne ściany,
I tak ognista jak samotnik pjany.

Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniewa i nudzi;
I znowu niechaj znudzonych przestrasza.
Takie jest życie — taka piosnka nasza!...
Kto ją zaśpiewa? kto? »

« Ja. » odpowiedział
Sędziwy starzec, który u podwojów
Między giermkami i paziami siedział.
Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów.
Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną,
Głowę obwiewa ostatek siwizny,
Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię pruską nosił,
A lewą ręką wyciągnął do stoła,
I tem skinieniem posłuchania prosił.
Ucichli wszyscy.

« Ja śpiewam, zawoła
Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem:
Dziś jedni legli w ojczyzny obronie,
Drudzy, żyć nie chcąc po ojczyzny zgonie,
Dobić się wolą nad jej martwem ciałem;
Jak sługi, wierne w dobrym i złym losie,
Giną na swego dobroczyńcy stosie.
Inni sromotnie po lasach się kryją,
Inni — jak Witold, między wami żyją.

« Ale po śmierci... Niemcy, wy to wiecie,
Sami spytajcie niecnych zdrajców kraju,
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie
Skazani wiecznym ogniom na pożarcie,
Zechcą swych przodków wywoływać z raju?
Jakim językiem poproszą o wsparcie?
Czy w ich niemieckiej, barbarzyńskiej mowie
Głos dzieci swoich uznają przodkowie?...

« O dzieci, jaka na Litwę sromota!
Żaden mi, żaden nie przyniósł obrony,

Gdy od ołtarza, stary Wajdelota,
Byłem w niemieckich kajdanach wleczony...
Samotny, w obcej ziemi zestarzałem;
Śpiewak, niestety! śpiewać nie mam komu;
Na Litwę patrząc oczy wypłakałem...
Dzisiaj — jeżeli chcę westchnąć do domu,
Nie wiem gdzie leży mój dom ulubiony,
Czy tam, czy ówdzie, czyli z tamtej strony...

« Tu tylko w sercu, tu się ochroniło,
Co w mej ojczyznie najlepszego było...
I te ubogie dawnych skarbów szczątki
Weźcie mi Niemcy — weźcie mi pamiątki.

« Jak zwyciężony rycerz na igrzysku :
Zachowa życie, ale cześć utraca ;
I dni wzgardzone wiekąc w pośmiewisku,
Znowu do swego zwycięzcy powraca,
I raz ostatni wytężając ramie,
Broń swą pod jego stopami rozłamie :
Tak mię ostatnia natchnęła ochota,
Jeszcze do lutni ośmieliłem rękę :
Niech wam ostatni w Litwie Wajdelota
Nóci ostatnią litewską piosenkę. »

Skończył, i czekał Mistrza odpowiedzi.
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiem,
Konrad badawczem i szyderczem okiem
Witolda liców i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy Wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witold mienił :
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił :
Dręczy go równie i gniew i sromota ;
Nakoniec, szablę ściskając u boku,
Idzie, zdziwioną gromadę roztrąca,
Spójrzał na starca, zahamował kroku,
I chmura gniewu nad czołem wisząca
Opadła nagle w bystrem łez potoku.
Powrócił, usiadł, płaszczem twarz zasłania,
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy z cicha : « Czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrzące dziady?
Kto słucha pieśni, i kto je rozumie » »

Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie
Coraz żywszemi przerywano śmiechy;
Paziowie krzyczą, świstając w orzechy:
« Oto jest nóta litewskiego śpiewu! »

Wtem Konrad powstał: « Waleczni rycerze,
Dziś Zakon, wedle starego zwyczaju,
Od miast i książąt podarunki bierze,:
Jak winne hołdy z podległego kraju
Żebrak wam piosnkę przynosi w ofierze:
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,
Wezmijmy piosnkę — będzie to grosz wdowi.

« Pośród nas widzim książęcia Litwinów,
Gośćmi Zakonu są jego wodzowie:
Miło im będzie pamięć dawnych czynów
Słyszeć, w ojczystej odświeżoną mowie.
Kto nie rozumie, niechaj się oddali.
Ja czasem lubię te posępne jęki
Nie zrozumiałej litewskiej piosenki:
Jak lubię łoskot rozbukanej fali,
Albo szmer cichy wiosennego deszczu,
Przy nich spać miło — Śpiewaj stary wieszczu. »

PIEŚŃ WAJDELOTY

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjście wieszcza odgadnie źrenica:
Bo jeśli słuszna Wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach.
Czołem przenosi białowieczkie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją;
A psy wieśniaków, zaryjszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.

Dziewica stąpa kroki złowieszczemi,
Na sioła, zamki i bogate miasta:
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie,
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko!... Ale więcej zguby
Wróży Litwinom od niemieckiej strony

Szyszak błyszczący ze strusiemi czuby,
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony!

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła!
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić...

O wieści gminna! ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty!

Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem —
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła...

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby, mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało! tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją,
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega,
I ztamtąd dawne opowiada czasy...
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nóci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stoletni,
Trącając kości żelazem oraczem,
Stanął, i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych: lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni...
Echa mu wtórzą, ja słuchałem zdala.
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przyszłość trąba archanioła:

Tak na dźwięk pieśni, kości z pod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły,
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste, brzmią licznemi wiosły,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje,
Śpiewają wieszcze, tańczy dziewic grono...
Marzyłem cudnie — srodze mię zbudzono!

Zniknęły lasy i ojczyste góry!
Myśl znużonemi ulatając pióry,
Spada, w domową tuli się zaciszę,
Lutnia umilkła w otrętwiałem ręku;
Śród żałośnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę.
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią, i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,
Jeszcze świeżością barwy zręci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu rozłoczy,
Krasne, acz nieco przyćmione kobierce...

Gdybym był zdobny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci,
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci:
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jednę tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki?
I swoich czasów śpiewak nie obwini:
Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki...
O nim zaśpiewam: uczcie się Litwini!

Umilknął starzec i dokoła słucha,
Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiewać;
W sali do koła była cichość głucha,

Ta zwykła wieszczów na nowo zagrzewać.
Zaczął więc piosnkę, ale innej treści;
Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,
Po stronach słabiej i rzadziej uderzał,
I z hymnu zstąpił do prostej powieści.

POWIEŚĆ WAJDELOTY

Zkąd Litwini wracali? Z nocnej wracali wycieczki,
Wieźli łupy bogate w zamkach i cerkwiach zdobyte.
Tłumy braneów niemieckich z powiązanemi rękami,
Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach zwycięzców:
Poglądają ku Prusom i zalewają się łzami.
Poglądają na Kowno — i polecają się Bogu.
W mieście Kownie pośrodku ciągnie się błonie Peruna,
Tam książęta litewscy, gdy po zwycięztwie wracają,
Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie ofiarnym.
Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi do Kowna:
Jeden młody i piękny, drugi latami schylony.
Oni sami śród bitwy, hufce niemieckie rzuciwszy,
Między Litwinów uciekli: książe Kiejstut ich przyjął:
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził.
Pyta z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli
« Nie wiem rzecze młodzieniec, jaki mój ród i nazwisko,
Bo dziecię od Niemców byłem w niewolę schwytany.
Pomnę tylko, że kiedyś w Litwie śród miasta wielkiego
Stał dom moich rodziców; było to miasto drewniane.
Na pagórkach wyniosłych, dom był z cegły czerwonej.
W koło pagórków na błoniach puszcza szumiała jodłowa,
Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro.
Razu jednego, w nocy, wrzask nas ze snu przebudził,
Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się szyby,
Kłęby dymu buchnęły po gmachu; wybiegliśmy w bramę,
Płomień wiął po ulicach, iskry sypały się gradem:
Krzyk okropny: «do broni! Niemcy są w mieście, do broni!...»
Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcej nie wrócił.
Niemcy wpadli do domu. Jeden wypuścił się za mną.
Zgonił, porwał mię na koń: nie wiem co stało się dalej:
Tylko krzyk mojej matki długo, długo słyszałem...
Pośród szczęku oręża, domów runących łoskotu,
Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał w mem uchu.
Teraz jeszcze, gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA

Za odgłosem piorunu... Oto jest wszystko co z Litwy,
Co od rodziców wywiozłem. W sennych niekiedy marzeniach
Widzę postać szanowną matki i ojca i braci:
Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza,
Coraz grubsza, i coraz ciemniej zasłania ich rysy.
Lata dzieciństwa płynęły, żyłem śród Niemców jak Niemiec,
Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano:
Imię było niemieckie, dusza litewska została,
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.
Winrych, mistrz Krzyżacki, chował mię w swoim pałacu,
On sam do chrztu mię trzymał, kochał i pieścił jak syna:
Jam się nudził w pałacach, z kolan Winrycha uciekał
Do Wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy Niemcami,
Był Wajdelota litewski wzięty w niewolę przed laty,
Służył tłumaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie dowiedział,
Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,
Rozpowiadał o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej i pieśnią.
On mię często ku brzegom Niemna sinego prowadził,
Ztamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste poglądać;
Gdyśmy do zamku wracali, starzec łzy mi ocierał,
Aby nie wzbudzić podejrzeń: łzy mi ocierał, a zemstę
Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w zamek wróciwszy
Nóż ostrzyłem tajemnie; z jaką zemsty roskoszą
Rznąłem kobierce Winrycha lub kaleczyłem zwierciadła.
Na twarz jego błyszcząca piasek miotałem i pławałem,
Potem, w latach młodzieńczych, częstośmy z portu Kłajpedy,
W łódkę ze starcem siadali brzegi litewskie odwiedzać.
Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne wspomnienia.
Upojony tą wonią, zdało się że dzieciniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małemi.
Starzec pomagał pamięci; on piękniejszemi słowami
Niźli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował:
Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych
Pędzić chwile miłości; ileżto dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają płacząc w kajdanach Zakonu?
To szłyszałem na błoniach; lecz na wybrzeżach Połągi,
Gdzie grzmiącemi pieśniami białe roztrąca się morze,
I z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa:
Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnej kobierce?
Już je piasek oblecial; widzisz te zioła pachnące?
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie:

Ach, daremnie! bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe pletwy roztacza, lądy żyjące podbija,
I rozciąga do koła dzikiej królestwo pustyni...
Synu, plony wiosenne żywo do grobu wtrącone,
To są ludy podbite, bracia, to nasi Litwini;
Synu, piaski z zamorza burzą pędzone — to Zakon!...
Serce bolało słuchając. Chciałem mordować Krzyżaków,
Albo do Litwy uciekać: starzec hamował zapędy.
Wolnym rycerzom, powiadał, wolno wybierać oręże,
I na polu otwartem bić się równemi siłami;
Tyś niewolnik: jedyna broń niewolników jest zdrada.
Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność; dalej obaczym co począć...
Ale w pierwszej potyczce, ledwiem obaczył chorągwie,
Byłem posłuszny starcowi, szedłem z wojskami Teutonów
Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał.
Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą przywodzę.
Jako sokół wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogiemi mękami łowcy odbiorą mu rozum,
I puszczają, żeby braci sokołów wojował:
Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
Wolnem odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł usłyszy
Pójdź myśliwcze do domu, z klatką nie czekaj sokoła... »

Skończył młodzieniec; a Kiejstut słuchał ciekawie, słuchała
Córa Kiejstuta Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory;
Kiejstutówna jak zwykle w siostr i rówiennic orszaku
Za krosnami usiada albo się bawi przędzidwem;
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich,
o swoje miłości. Wszystko, co Walter powiadał,
Łowi uchem dziewica, myślą łakomą połyka;
Wszystko umie na pamięć, nieraz i we śnie powtarza.
Walter mówił jak wielkie zamki i miasta za Niemnem,
Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
Jak na gonitwach waleczni kopje kruszą rycerze,
A dziewice z krużganków patrzą i wieńce przyznają.
Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Niemnem,
I o Niepokalanej Syna Bożego Rodzicy.
Której postać anielską w cudnym pokazał obrazku.
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach:

Dziś Litwince darował gdy ją do wiary nawracał,
Gdy pacierze z nią mówił; chciał wszystkiego nauczyć
Co sam umiał; niestety, on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał: on nauczył ją kochać.
I sam uczył się wiele. Z jakim rozkosznem wzruszeniem
Słyszał z ust jej litewskie już zapomniane wyrazy.
Z każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe uczucie
Jako iskra z popiołu: były to słodkie imiona
Pokrewieństwa, przyjaźni; słodkiej przyjaźni, i jeszcze
Słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości, któremu
Nie masz równego na ziemi, oprócz wyrazu — Ojczyzna.

Zkądże, pomyślał Kiejstut, nagła w mej córce odmiana,
Gdzie jej dawna wesołość, gdzie jej dziecinne rozrywki?
W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem,
Ona siedzi samotna albo z Walterem rozmawia.
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krosną:
Jej z rąk igła wypada, nici plątają się w krosnach,
Sama nie widzi co robi, wszyscy mi to powiadają.
Wczora postrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.
Jakże mogłaby widzieć, kiedy jej oczy i myśli
Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają?
Ile razy zapytam, gdzie ona poszła? w dolinę;
Zkąd powraca? z doliny; cóż w tej dolinie? młodzieniec
Ogród dla niej zasadził. Jestże ten ogród piękniejszy
Niźli me sady zamkowe (pyszne Kiejstut miał sady,
Pełne jabłek i gruszek, dziewic kowieńskich ponęta).
Nie ogródek to wabi; zimą widziałem jej okna,
Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,
Czysta jakby śród maja, lód nie zaciemił krzyształu;
Walter chodzi tamtędy, pewnie siedziała u okna
I gorącem westchnieniem lody na szybach stopiła.
Ja myślałem; że on ją czytać i pisać nauczy,
Słysząc, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli...
Chłopiec dobry, waleczny, jak ksiądz w pismach ćwiczony:
Mamże go z domu wypędzić? On tak potrzebny dla Litwy;
Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,
Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko...
Pójdź Walterze, bądź zięciem moim i bij się za Litwę!

Walter pojął Aldonę... Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłośnych romansach,
Gdy się rycerze pożenią kończy trubadur piosenkę.

Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi...
Walter kochał swą żonę — lecz miał duszę szlachetną;
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie.

Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanócił skowronek,
Innym krajom skowronek miłość i rozkosz obwieszcza,
Biednej Litwie co roku wróży pożary i rzezie;
Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonymi tłumami;
Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbroj, rżenia rumaków.
Jak mgła spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega,
Tu i ówdzie migocą straży naczelnych proporce,
Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,
Mosty po Niemnie rzucili, Kowno do koła oblegli.
Dzień w dzień od taranów walą się mury i baszty,
Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety,
Pod niebiosami ognistym wznosi się bomba połotem,
I jak sokół na ptaki z góry na dachy uderza.
Kowno w gruzy runęło, Litwa do Kiejdan uchodzi;
W gruzach runęły Kiejdany, Litwa po górach i lasach
Broni się; Niemcy dalej ciągną plądrując i paląc.
Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni w odwrocie
Kiejstut zawsze spokojny: od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, ucickać;
Widział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli,
Idąc w ślady swych przodków bił się i niedbał o przyszłość.
Inne były Waltera myśli: chowany śród Niemców,
Znał potęgę Zakonu; wiedział, że Mistrza wezwanie
Z całej Europy wyciąga skarby, orężе i wojska;
Prusy broniły się niegdyś, starły Prusaków Teutony.
Litwa pierwej czy później równej ulegnie kolei;
Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością Litwinów.
« Synu, Kiejstut zawoła, zgubnym ty jesteś prorokiem;
Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie pokazać.
Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły,
I z nadzieją zwycięztwa z piersi uciekła odwaga.
Cóż poczniemy z Niemcami?... » « Ojcze, Walter powiadał,
Wiem ja sposób jedyny, straszny, skuteczny niestety!
Może kiedyś objawię... » Tak rozmawiali po bitwie,
Nim ich trąba ku nowym bitwom i klęskom wezwała.

Kiejstut coraz smutniejszy, Walter jak mocno zmieniony!
Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbytecznie wesoły,
— W chwilach nawet szczęśliwych lekki mrok zamyślenia

Lice jego przysłaniał — ale w objęciach Aldony
Dawniej miewał pogodne czoło i lice spokojne,
Zawsze ją witał uśmiechem, czułem pożegnał wejrzeniem.
Teraz zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść;
Cały ranek przed domem z założonemi rękami,
Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i wiosek,
Patrzy dzikiemi oczyma; w nocy porywa się ze snu:
I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.
« Mężu drogi, co tobie? » pyta ze łzami Aldona;
— « Co mnie? będęż spokojnie drzemał, aż Niemcy napadną
I sennego związawszy w ręce katowskie oddadzą? »
— « Boże uchowaj, mężu! straże pilnują okopów. »
— « Prawda, straże pilnują, czuwam i szablę mam w ręku:
Ale kiedy wyginą straże, wyszczerbi się szabla...
Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję?... »
— « Bóg nam zdarzy pociechę z dziatek »... « W tem Niemcy napadną,
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko,
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego!...
Ja sam możebym ojca, możebym braci mordował,
Gdyby nie Wajdelota... » — « Drogi Walterze nijedźmy,
Dalej w Litwę, skryjmy się w lasy i góry od Niemców. »
— « My odjedziem, a inne matki i dzieci zostawim.
Tak uciekali Prusacy: Niemiec ich w Litwie dogonił.
Jeśli nas w górach wyśledzi?... »—« Znowu dalej ujedziem. »
— « Dalej? dalej, nieszczęsna! dalej ujedziem za Litwę?
W ręce Tatarów, lub Rusi?... » Na tę odpowiedź Aldona
Pomięszana milczała: jej zdawało się dotąd,
Że ojczyzna jak świat jest długa, szeroka bez końca;
Pierwszy raz słyszy, że w Litwie całej nie było schronienia.
Załamawszy ręce, pyta Waltera: co począć?
— « Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom,
Skruszyć potęgę Zakonu: mnie ten sposób wiadomy.
Lecz nie pytaj dla Boga! stokroć przeklęta godzina,
W której od wrogów zmuszony chwycę się tego sposobu! »
Więcej nie chciał powiadać, próśb Aldony nie słuchał,
Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą.
Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony
Klęsk i cierpień widokiem, wzdął się i serce ogarnął;
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie,
Dotąd mu żywot słodzące: nawet uczucie miłości.
Tak u białowieskiego dębu, jeżeli myśliwi,
Ogień tajemny wzniecciwszy, rdzeń głęboko wypalą,

Wkrótce lasów monarcha straci swe liście powiewne,
Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność,
Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie korona jemioły.

Długo Litwini po zamkach, górach i lasach błądzili,
Napadając na Niemców, lub napadani wzajemnie.
Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy.
Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej poległo,
Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.
Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły z za morza;
Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry.
Z wyszczerbionemi szablami, z porąbanemi tarczami,
Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do domu.
Walter nie spojrzał na żonę, słowa do niej nie wyrzekł:
Po niemiecku z Kiejstutem i Wajdelotą rozmawiał.
Nie rozumiała Aldona, serce tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki. Gdy zakończyli obradę,
Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili wejrzenie.
Walter patrzał najdłużej z niemej wyrazem rozpaczy;
Wtem gęstemi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu.
Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca,
I przepraszał za wszystko, co ucierpiała dla niego.
« Biada, mówił, niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wyhiegać lubi za wioski granice,
Których myśli jak dymy wiecznie nad dach ulatają.
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.
Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie:
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek...
Daruj, luba Aldono! dzisiaj chcę w domu pozostać.
Dzisiaj o wszystkim zapomnę, dzisiaj będziemy dla siebie.
Czem bywaliśmy dawniej; jutro... » i nie śmiał dokończyć.
Jaka radość Aldonie! Zrazu myśli nieboga.
Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoły:
Widzi go mniej zamyślonym, w oczach więcej żywości,
W licach dostrzega rumieniec. Walter u nóg Aldony
Cały wieczór przepędził; Litwę, Krzyżaków i wojnę
Rzucił na chwilę w niepamięć, mówił o czasach szczęśliwych
Swego do Litwy przybycia, pierwszej z Aldoną rozmowy,
Pierwszej w dolinę przechadzki, i o wszystkich dziecinnych
Ale sercu pamiętnych, pierwszej miłości zdarzeniach.
Za cóż tak lube rozmowy słowem *jutro*, przerywa?
I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda,
Łzy mu kręcą się w oczach, chciałby cóś wyrzec i nie śmie.

Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiątki
Na to tylko wywołał, aby się z niemi pożegnać?
Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora pieszczoty,
Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika miłości?
Darmo się pytać. Aldona patrzy, czeka niepewna,
I wyszedłszy z komnaty jeszcze przez szpary pogląda.
Walter wino nalewał, mnogie wychylał puhary,
I Wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwo wschodziło: tętnią po bruku kopyta,
Dwaj rycerze z tumanem rannym spieszą się w góry.
Wszystkieby straże zmylili — jednej nie mogli omylić.
Czujne są oczy kochanki, zgadła ucieczkę Aldona!
Drogę w dolinie zabiegła; smutne to było spotkanie,
« Wróć się, o luba do domu; wróć się, tyś będziesz szczęśliwa
Może będziesz szczęśliwa, w lubej rodziny objęciach;
Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz!
Wielu książąt dawniej o twą starało się rękę;
Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku,
Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i ciebie!
Bywaj zdrowa, zapomnij; zaplacz niekiedy nademną:
Walter wszystko utracił, Walter sam jeden pozostał,
Jako wiatr na pustyni; błąkać się musi po świecie,
Zdradzać, mordować, i potem ginąć śmiercią haniebną.
Ale po latach ubiegłych, imię Alfa na nowo
Zabrzmi w Litwie, i kiedyś z ust Wajdelotów posłyszysz
Czyny jego. Natenczas, luba, natenczas pomyślisz,
że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnie okryty,
Jednej tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem,
I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa. »
Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni słowa.
« Jedziesz, jedziesz! » krzyknęła, i zatrwożyła się sama
Słowem *jedziesz*; to jedno słowo brzmiało jej w uchu;
Nic nie myślała, o niczem pomnieć nie mogła; jej myśli,
Jej pamiątki, jej przyszłość, wszystko splątało się tłumnie,
Ale sercem odgadła że niepodobna powracać,
Że nie podobna zapomnieć. Oczy zbłąkane toczyła,
Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie:
W tem wejrzeniu już dawniej nie znajdowała pociechy,
I zdawała się szukać czegoś nowego, i w koło
Oglądała się znowu... W koło pustynie i lasy;
W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem wieżyca,
Było klasztor zakonnic, chrześcian smutna budowa.

Na tej więżycy spoczęły oczy i myśli Aldony :
Jak gołąbek porwany wiatrem śród morskiej topieli,
Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.
Walter zrozumiał Aldonę ; udał się za nią w milczeniu,
Opowiedział swój zamiar, taić przed światem nakazał
I u bramy — niestety ! straszne to było rozstanie —
Alf z Wajdelotą pojechał. Dotąd nic o nich nie słychać.
Biada, biada jeżeli dotąd nie spełnili przysięgi :
Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony zatruwszy...
Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił...
Przyszłość resztę pokaże... Niemcy, skończyłem piosenkę...

Koniec już koniec, — wielki szmer na sali :
I cóż ów Walter ? jakie jego czyny ?
Gdzie ? nad kim zemsta ? słuchacze wołali.
Mistrz tylko jeden śród szumnej drużyny
Siedział milczący z pochyloną głową.
Mocno wzruszony, porywa co chwila
Puhary z winem i do dna wychyla.
W jego postaci zmianę widać nową,
Różne uczucia w nagłych błyskawicach,
Po rozpalonych krzyżują się licach ;
Co raz to groźniej czoło mu się chmurzy,
Usta drżą sine, obłąkane oczy
Latają niby jaskółki śród burzy,
Wreszcie płaszcz zrzuca i na środek skoczy :
« Gdzie koniec pieśni ?... wraz mi koniec śpiewaj !
Albo daj lutnię !... czego drżący stoisz ?
Podaj mi lutnię, puhary nalewaj,
Zaśpiewam koniec jeśli ty się boisz !...

« Znam ja was !... Każda piosnka Wajdeloty
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie :
Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie,
Nam zostawiacie — chwałę i zgryzoty...
Jeszcze w kolebce, wasza pieśń zdradziecka
Nakształt gadziny obwija pierś dziecka,
I wlewa w duszę najsroższe trucizny,
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny !...

« Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
Jak zabitego cień nieprzyjaciela :
Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,
Aby krew mięszać w puhary wesela.

Słuchałem pieśni... zanadto niestety!...
Stało się, stało... Znam cię zdrajco stary!
Wygrałeś... wojna, tryumf dla poety!
Dajcie mi wina, spełnią się zamiary!

« Wiem koniec pieśni... nie — zaśpiewam inną!...
Kiedy walczyłem na górach Kastyli,
Tam mnie Maurowie ballady uczyli...
Starcze, graj nótę... tę nótę dziecinną,
Którą w dolinie... o! był to czas błogi —
Na tę muzykę zwykłem zawsze nócić...
Wracajże starcze!... bo przez wszystkie bogi
Niemieckie, pruskie... »

Starzec musiał wrócić,
Uderzył lutnię i głosem niepewnym
Szedł za dzikiemi tonami Konrada,
Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,
Rycerzy długa uśpiła biesiada;
Lecz Konrad śpiewa; budzą się na nowo,
Stają, i w szczupłem ścisnąwszy się kole,
Pilnie zważają każde pieśni słowo.

BALLADA

ALPUHARA

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady:
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy.
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
Rwą się okopy, mur wali;
Już z minaretów błysnęły krzyże:
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upornej obronie,

Przerżnął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtem straż odźwierna wodzom donosi
Że rycerz z obcej krainy
O posłuchanie co rychlej prosi,
Ważne przywożąc nowiny.

Było Almanzor król muzulmanów.
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.

« Hiszpanie, woła, na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

« Niechaj rozgłosi sława przed światem.
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wassalem obcej korony »

Hiszpanie męztwo ocenić umieją :
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął inni koleją
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczulej uścisnął,
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.

A wtem osłabnął... padł na kolana...
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła — wszystkich zadziwił
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwią mu nabiegły źrenice.

« Patrzcie, o giaury! jam siny, blady...
Zgadnijcie czyim ja posłem?...
Jam was oszukał : wracam z Grenady;
Ja wam zarazę przyniosłem!

« Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać...
Pójdzcie i patrzcie na me katusze,
Wy tak musicie umierać ».

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona :
Chciałby uściśnieniem wiecznem
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki
Jeszcze się usta nie zwarły :
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli :
Dżuma za nimi w ślad biegła,
Z gór Alpuhary nim się wywlekli
Reszta ich wojska poległa,

« Takto przed laty mścili się Maurowie :
Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina?...
Cóż? jeśli kiedy uiści się w słowie,
I przyjdzie mięszać zarazę do wina...
Ale nie — o nie! — dziś inne zwyczaje.
Książe Witołdzie, dziś litewskie pany
Przychodzą własne oddawać nam kraje,
I zemsty szukać na swój lud znękany!

« Przecież, nie wszyscy... o! nie, na Peruna!
Jeszcze są w Litwie... jeszcze wam zaśpiewam...
Precz mi z tą lutnią!... zerwała się strona,
Nie będzie pieśni!... ale się spodziewam,
Że kiedyś będą... Dziś zbyt nie puhary...
Zanadto piłem... Cieszcie się i bawcie...
A ty Al... manzor, precz mi z oczu stary!
Precz mi z Albanem!... samego zostawcie. »

Rzekł, i niepewną powracając drogą.
Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił,
Jeszcze coś groził; uderzywszy nogą
Stół z puharami i winem wywrócił.

Nakoniec osłabł, głowa się schyliła
Na poręcz krzesła; wzrok po chwili gasnął,
I drżące usta piana mu okryła,
I zasnął.

Rycerze chwilę w zadumieniu stali,
Wiedzą o smutnym nałogu Konrada,
Że gdy się winem zbytecznie zapali,
W dzikie zapały, w bezprzytomność wpada:
Ale na uczcie — publiczna sromota! —
Przy obcych ludziach, w bezprzykładnym gniewie!!
Kto go podniecił! gdzie ów Wojdelota?...
Wymknął się z ciżby, i nikt o nim nie wie.

Były powieści, że Halban przebrany
Litewską piosnkę Konradowi śpiewał:
Że tym sposobem znowu chrześciany
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał.
Ale zkąd w mistrzu tak nagłe odmiany?
Za co się Witold tak srodze rozgniewał?
Co znaczy Mistrza dziwaczna ballada?
Każdy w domysłach nadaremnie bada.

V

WOJNA

Wojna, już Konrad hamować nie zdoła
Zapędów ludu i nalegań rady;
Dawno już cały kraj o pomstę woła,
Za Litwy napaść i Witolda zdrady.

Witołd, co wsparcia u Zakonu żebrał,
Dla odzyskania Wileńskiej stolicy;
Teraz po uczcie, gdy wieści odebrał,
Że w krótce ruszą w pole Krzyżownicy,
Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził,
I swych rycerzy tajnie uprowadził.

W zamki Teutonów leżące po drodze,
Wszedł z wymyślonym od Mistrza rozkazem,
A potem oręż wydarłszy załodze,
Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.
Zakon, i wstydem i gniewem zagrzany,
Krzyżową wojnę podniósł na Pogany.

Wychodzi bulla : morzem, lądem płyną
Nieprzeliczone wojowników roje,
Możni książęta, z wassalów drużyną
Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje;
A każdy na to swe życie poślubił,
Aby pogaństwo ochrzcił — lub wygubił.

Poszli ku Litwie : i cóż tam sprawili?
Jeśliś ciekawy wynidź na okopy,
Spójrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachyli :
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
Krwawym płomieni ruczajem obleje,
Oto są wojen napastniczych dzieje :
Łacno je skreślić : rzeź, grabież, pożoga
I blask, co głupie rozwesela zgraje
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos, wołający o pomstę do Boga.

Wiatry pożogę coraz dalej niosły,
Rycerze dalej w głąb Litwy zabiegli.
Słychać, że Kowno, że Wilno oblegli,
W końcu ustały i wieści i posły.
Już w okolicy nie widać płomieni,
I niebo coraz dalej się czerwieni.
Darmo Prusacy z podbitej krainy
Brańców i mnogich łupów wyglądają;
Darmo szlą częstych gońców po nowiny :
Spieszą się gońcy, i — nie powracają.
Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,
Radby doczekać chociażby rozpaczy.

Minęła jesień. Zimowe zamieci
Huczą po górach, zawalają drogi :
I znowu zdala na niebiosach świeci
Północne zorze! czy wojny pożogi?
Coraz widoczniej razi blask płomieni,
I niebo coraz bliżej się czerwieni.

Z Maryenburga lud patrzy ku drodze,
Już widać z dala : kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych... Konrad! Nasi wodze?
Jakże ich witać?... Konrad wzniósł prawicę,
Pokazał dalej ciżbę rozproszoną :
Ach, sam ich widok zdradził tajemnicę!...

Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną
Walą się, depcą jak podłe owady
W ciasnym naczyniu ginące pospołu;
Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potrącą do dołu.
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi,
Ci w biegu nagle przystygli do drogi:
Lecz ręce wznoszą, i stojące trupy
Wskazują w miasto jak podróżne słupy.

Lud wybiegł z miasta strwożony, ciekawy,
Lękał się zgadnąć, i o nic nie pytał,
Bo całe dzieje nieszczęsnej wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała,
Harpia głodu ich lica wyssała.
Tu słychać trąby litewskiej pogoni,
Tam wicher toczy kłąb śniegu po błoni,
Opodal wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło, Konrad wszystkich zgubił!...
On, co z oręża takiej nabył chwały,
On, co się dawniej roztropnością chlubił:
W ostatniej wojnie lękliwy, niedbały,
Witolda chytrych sideł nie dostrzegał,
A oszukany, chęcią zemsty ślepy,
Zagnawszy wojsko na litewskie stepy,
Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegał.

Kiedy strawiono dobytki i plony,
Gdy głód Niemieckie nawiedzał obozy
A nieprzyjaciel w koło rozproszony
Niszczył posiłki, przecinał dowozy,
Codziennie z nędzy marły Niemców krocie,
Czas było szturmem położyć kres wojny,
Albo o rychłym zamyślać odwrocie:
Wtenczas Wallenrod, ufny i spokojny,
Jeździł na łowy, albo w swym namiocie
Zamknięty, knował tajemne układy,
I wodzów nie chciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnął,
Że ludu swego niewzruszony łzami,
Miecza na jego obronę nie dźwignął:

Z założonemi na piersiach rękami,
Cały dzień dumał, lub z Halbanem gadał...
Tymczasem zima nawaliła śniegi,
I Witold, świeże zebrawszy szeregi,
Oblegał wojsko, na obóz napadał...
O, hańbo w dziejach mężnego Zakonu! —
Wielki mistrz pierwszy uciekł z pola bitwy!...
Zamiast wawrzynów i sutego plonu,
Przywiózł wiadomość o zwycięztwach Litwy!

Czyście widzieli gdy z tego pogromu
Wojsko upiorów prowadził do domu?
Ponury smutek czoło jego mroczy,
Robak boleści wywijał się z lica:
I Konrad cierpiał — ale spójrzyj w oczy:
Ta wielka, napół otwarta źrenica,
Jasne z ukosa miotała pociski,
Niby kometa grożący wojnami,
Co chwila zmienna, jak nocne połyski,
Którymi szatan podróżnego mami,
Wściekłość i radość połączając razem,
Błyszczyła jakimś szatańskim wyrazem!

Drżał lud i szemrał. Konrad nie dbał o to;
Zwołał na radę niechętnych rycerzy;
Spojrzał, przemówił, skinął — o sromoto!
Słuchają pilnie i każdy mu wierzy;
W błędach człowieka widzą sądy Boga:
Bo kogóż z ludzi nie przekona — trwoga.

Stój, dumny władco! jest sąd i na ciebie!
W Maryenburgu wiem ja loch podziemny:
Tam gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,
Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebu sali
I w dzień i w nocy się pali;
Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,
Na tronie ustaw księga tajemnicza,
Dwunastu sędziów każdy w czarnej zbroi;
Wszystkich maskami zamknięte oblicza,
W lochach od gminnej ukryli się zgrai,
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie,
Karać potężnych swoich władców zbrodnie,

Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
I rodzonemu nie przepuszczą bratu,
Każdy powinien gwałtownie lub zdradnie,
Na potępionym dopełnić wyroku :
Sztylety w ręku, rapiery u boku.
Jeden z maskowych zbliżył się do tronu,
I stojąc z mieczem przed księgą zakonu,
Rzekł : — « Straszliwi sędziowie!
Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem :
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.
Kto on jest ? niewiadomo. Przed dwunastu laty
Nie wiedzieć zkąd przyjechał w nadreńskie krainy.
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.
Wkrótce, rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął;
Ow giermek, podejrzany o jego zabicie,
Z Palestyny uszedł skrycie,
I ku hiszpańskim brzegom zawinął.
Tam w potyczkach z Maurami dał męztwa dowody,
I na turniejach mnogie pozyskał nagrody :
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.
Przyjął nakoniec zakonnika śluby,
I został Mistrzem — dla Zakonu zguby.
Jak rządził wszyscy wiecie. Tej ostatniej zimy,
Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczymy,
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy,
I tam miewał z Witoldem tajemne rozmowy.
Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów,
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą;
Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą :
Lecz, sędziowie, on mówił — językiem Litwinów
Zważywszy, co nam tajnych sądów posły
Niedawno o tym człowieku doniosły,
I o czem świeżo mój szpieg donosi,
I wieść już ledwie nie publiczna głosi :
Sędziowie ja na mistrza zaskarżenie kładę
O fałsz, zabójstwo, herezyę, zdradę. »

Tu oskarżyciel przed zakonu księgą
Ukląkł, i wsparłszy na krucyfix rękę,
Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą,
Na Boga i na Zbawiciela mękę.

Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają;
Lecz nie ma głosów, ni cichej rozmowy:
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy,
Jakąś głęboką, groźną myśl wydają.
Każdy z kolei zbliżał się do tronu.
Ostrzem sztyletu, na księdze Zakonu
Karty przerzucał, prawa cicho czytał,
O zdanie tylko sumienia zapytał,
Osądził, rękę do serca przykłada,
I wszyscy zgodnie zawołali: — biada!
I trzykroć echem powtórzyły mury:
Biada! — W tem jednem, jednem tylko słowie
Jest cały wyrok. Pojęli sędziowie:
Dwanaście mieczów podnieśli do góry
Wszystkie zmierzone — w jedną pierś Konrada.
Wyszli w milczeniu, a jeszcze raz mury
Echem za nimi powtórzyły: — biada!

VI

POŻEGNANIE

Zimowy ranek; wichrzy się i śnieży.
Wallenrod leci śród wichrów i śniegów,
Zaledwie stanął u jeziora brzegów,
Woła, i mieczem bije w ściany wieży
« Aldono, wola, żyjemy Aldono!
Twój miły wraca, wypełnione śluby;
Oni zginęli, wszystko wypełniono. »

PUSTELNICA.

« Alf?... To głos jego!... Mój Alfie, mój luby?
Jakże! już pokój? ty powracasz zdrowo?
Już nie pojedziesz? »

KONRAD.

« O! na miłość Boga,
O nic nie pytaj!... Słuchaj, moja droga,
Słuchaj i pilnie zważaj każde słowo,
Oni zginęli... Widzisz te pożary?
Widzisz? to Litwa w kraju Niemców broi!...
Przez lat sto Zakon ran swych nie wygoi.
Trafiłem w serce stugłowej poczwary;
Strawione skarby, źródła ich potęgi,
Zgorzały miasta, morze krwi wycieklo..
Jam to uczynił; dopełnił przysięgi —

Straszniejszej zemsty nie wymyśli piekło!
Ja więcej nie chcę — wszak jestem człowiekiem!...
Spędziłem młodość w bezecnej obłudzie,
W krwawych rozbojach... dziś, schylony wiekiem,
Zdrady mię nudzą; niezdolnym do bitwy;
Już dosyć zemsty — i Niemcy są ludzie!
Bóg mię oświecił, ja powracam z Litwy,
Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,
Kowieński zamek... już tylko ruiny...
Odwracam oczy, przelatuję czwałem,
Biegnę do owej, do naszej doliny:
Wszystko jak dawniej!... też laski, te kwiaty;
Wszystko jak było owego wieczora,
Gdyśmy dolinę żegnali przed laty:
Ach! mnie się zdało że to było wczora!
Kamień, pamiętasz ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem?
Stoi dotychczas tylko mchem zarosły.
Ledwiem go dostrzegł, osłoniony zielem.
Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami:
Siedzienie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłaś spocząć między jaworami;
Źródło, gdziem szukał dla ciebie napoju:
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził,
Nawet twój mały chłodnik zostawiono.
Com go suchemi wierzbami ogrodził..
Te suche wierzby, jaki cud, Aldono!
Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy,
Dziś ich nie poznasz; dzisiaj piękne drzewa,
I liście na nich wiosenne powiewa,
I młodych kwiatów unoszą się puchy!
Ach, na ten widok, pociecha nieznana,
Przeczucie szczęścia, serce ożywiło;
Całując wierzby padłem na kolana,
Boże mój, rzekłem, aby się spełniło!
Obyśmy w strony ojczyzny wróceni,
Kiedy Litewską zamieszkamy rolę,
Odżyli znowu; niech i naszą dolę
Znowu nadziei listek zazieleni!
« Tak, wróćmy! Pozwól!... Mam w Zakonie władzę,
Każę otworzyć... Lecz poco rozkazy?
Gdyby ta brama była tysiąc razy
Twardszą od stali: wybiję, wysadzę,

Tam cię, o luba! ku naszej dolinie,
Tam poprowadzę, poniosę na ręku,
Lub dalej pójdziem.,. Są w Litwie pustynie,
Są głuche cienie białowiezkich lasów,
Kędy nie słychać obcej broni szczęku,
Ani dumnego zwycięzcy hałasów.
Ni zwyciężonych braci naszych jęku...
Tam w środku cichej, pasterskiej zagrody,
Na twojem ręku, u twojego łona,
Zapomnę, że są na świecie narody,
Że jest swiat jakiś — będziem żyć dla siebie!...
Wróć, powiedz, pozwól!... »

Milczała Aldona,
Konrad umilknął, czekał odpowiedzi.
Wtem krwawa jutrznia błysnęła na niebie:

« Aldono, przebóg! ranek nas uprzedzi,
Zbudzą nas ludzie i straż nas zatrzyma;
Aldono!... » wołał, drżał z niecierpliwości;
Głosu nie stało, błagał ją oczyma,
I załamane ręce wzniósł do góry,
Padł na kolana, i żebrząc litości,
Objął, całował zimne wieży mury.

PUSTELNICA.

« Nie, już po czasie! — rzekła smutnym głosem,
Ale spokojnym, — Bóg mi doda siły,
On mię zasłoni przed ostatnim ciosem...
Kiedym tu weszła, przysięgłam na progu,
Nie zstąpić z wieży chyba do mogiły
Walczyłam z sobą — dziś, i ty, mój miły
I ty mi dajesz pomoc przeciw Bogu!...
Chcesz wrócić na świat — kogo? nędzną marę!
Pomyśl, ach pomyśl! jeżeli szalona
Dam się namówić, rzucę tę pieczarę,
I z uniesieniem padnę w twe ramiona —
A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz,
Odwrócisz oczy i z trwogą zapytasz :
Ten straszny upiór jestże to Aldona?...
I będziesz szukał w zagasłej źrenicy,
I w twarzy, która — ach, myśl sama razi!
Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy,
Pięknej Aldonie oblicza nie kazi!...

« Ja sama... wyznam... daruj, mój kochany!
Ilekroć księżyc żywszem światłem błyska,
Gdy słyszę głos twój; kryję się za ściany;
Ja cię, mój drogi, nie chcę widzieć zbliska!...
Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,
Jakim bywałeś, pamiętasz, przed laty,
Gdyś wjechał w zamek z naszemi orszaki :
Lecz dotąd w mojem zachowałeś łonie,
Też same oczy, twarz, postawę, szaty.
Tak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,
Na wieki całą zachowuje postać.
Alfie, nam lepiej takiemi pozostać,
Jakiemi dawniej byliśmy, jakiemi
Złączym się znowu, — ale nie na ziemi!...

« Doliny piękne zostawmy szczęśliwym :
Ja lubię moją kamienną zaciszę,
Mnie dosyć szczęścia, gdy cię widzę żywym
Gdy miły głos twój co wieczora słyszę...
I w tej zaciszy można, Alfie drogi,
Możnaby wszystkie cierpienia osłodzić,
Porzuć już zdrady, mordy i pożogi,
Staraj się częściej i raniej przychodzić.

« Gdybyś — posłuchaj — około równiny
Chłodnik podobny owemu zasadził,
I twoje wierzby kochane sprowadził,
I kwiaty, nawet ów kamień z doliny...
Niech czasem dziatki z pobliskiego sioła;
Bawią się między ojczystemi drzewy,
Ojczyste w wianek uplatają zioła,
Niechaj litewskie powtarzają śpiewy —
Piosnka ojczysta pomaga dumaniu,
I sny sprowadza o Litwie i tobie —
A potem, potem, po mojem skonaniu,
Niech przyśpiewują i na Alfa grobie... »

Alf już nie słyszał. On po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci :
W dzikich widokach i w nagłonym biegu
Znajdował jakąś ulgę, utrudzenie.
Ciężko mu, duszno śród zimowej słoty;
Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie,
I z piersi zrzucił wszystko, — prócz zgryzoty.

Już rankiem trafił na miejskie okopy;
Ujrzał cień jakiś, zatrzymał się, bada...
Cień krąży dalej, i cichemi stopy
Wionął po śniegu, w okopach przepada.
Głos tylko słychać : — « biada, biada, biada ! »

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał,
Pomyślił chwilę — i wszystko zrozumiał.
Dobywa miecza, i na różne strony
Zwraca się, śledzi niespokojnem okiem :
Pusto dokoła, tylko przez zagony
Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał,
Spojrzy ku brzegom, staje rozrzewniony :
Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem
Wraca się znowu pod wieżę Aldony,
Dostrzegł ją zdala, jeszcze w oknie była :
« Dzień dobry, krzyknął przez tyle lat z sobą
Tylkośmy nocną widzieli się dobą ;
Teraz dzień dobry ! — jaka wróżba miła !
Pierwszy dzień dobry, po latach tak wielu !
Zgadnij, dla czego przychodzę tak rano ? »

ALDONA.

« Nie chcę zgadywać ; bądź zdrów, przyjacielu !
Już nazbyt światło, gdyby cię poznano...
Przestań namawiać, — bądź zdrów, do wieczora,
Wyniść nie mogę, nie chcę. »

ALF.

« Już nie pora...
Wiesz o co proszę ?... Zrzuć jaką gałązkę...
Nie, kwiatów nie masz : więc nitkę z odzieży,
Albo z twojego warkocza zawiązkę,
Albo kamyczek ze ścian twojej wieży.
Chcę dzisiaj, — jutro nie każdemu dożyć —
Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,
Który dziś jeszcze był na twojem łonie,
Na którym jeszcze świeża łezka płonie ;
Chcę go przed śmiercią na mem sercu złożyć
Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem...
Mam zginąć wkrótce, nagle — zginmy razem !
Widzisz tę blizką, przedmiejską strzelnicę ?
Tam będę mieszkał : dla znaku, co ranek,
Wywieszę czarną chustkę na krużganek,
Co wieczór lampę u kraty zaświecę :

Tam wiecznie patrzaj. Jeśli chustkę zrzucę,
Jeżeli lampa przed wieczorem skona :
Zamknij twe okno, może już nie wrócę...
Bądź zdrowa!... »

Odszedł i zniknął. Aldona
Jeszcze pogląda zwieszona u kraty,
Ranek przeminął, słońce zachodziło,
A długo jeszcze w oknie widać było
Jej białe z wiatrem igrające szaty,
I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

« Zaszło nakoniec » rzekł Alf do Halbana,
Wskazując słońce z okna swej strzelnicy,
W której zamkniętej do samego rana
Siedział patrząjąc w okno pustelnicy :
« Daj mi płaszcz, szablę, bądź zdrów. wierny sługo,
Pójdę ku wieży, — bywaj zdrów nadługo,
Może na wieki... Posłuchaj Halbanie,
Jeżeli jutro, gdy dzień zacznie świecić,
Ja nie powrócę, opuść to mieszkanie. —
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić...
Jakżem samotny ! pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu, nigdzie, nic, powiedzieć
W godzinę skonu, — prócz jej i prócz ciebie !...
Bądź zdrów Halbanie ! Ona będzie wiedzieć :
Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano...
Lecz cóżto ? słyszysz ?... W bramę kołatano. »

« Kto idzie ? » trzykroć odźwierny zawołał;
« Biada ! » krzyknęło kilka dzikich głosów.
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał,
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega,
Alf, zawaliwszy wrzeciądzem podwoje,
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,
Poszedł ku oknu : « stało się » zawoła,
Nalał i wypił. « Starcze ! w ręce twoje ! »

Halban pobladnął. Chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój, wstrzymuje się, myśli;

Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki,
Opuszcza rękę: — « To oni, — już przyszli. »

« Starcze rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
I czegóż myślisz? Masz nalaną czaszę,
Moja wypita... Starcze, w ręce wasze! »

Halban poglądał w milczeniu rozpaczy:
« Nie, ja przeżyję — i ciebie, mój synu!...
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
I żyć — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta;
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci;
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci;
Będzie ją śpiewać — i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości... »

Na poręcz okna Alf ze łzami pada,
I długo, długo ku wieży poglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzyć się żądał
Miłym widokom, które wnet postrada.
Objął Halbana: westchnienia zmieszali
W ostatniem, długiem, długiem uściśnieniu.
Już u wrzeciądzów słychać łoskot stali,
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:

« Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie!
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu.
Oto jest starzec, kapelan Zakonu:
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie!

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie, pochyla się, słania:
Wsparł się na oknie i tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, Mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy:

« Oto są grzechy mojego żywota!...
« Gotowem umrzeć: czegoż chcecie więcej?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy
Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów:
Tam marzną waszych ostatki szeregów!

Słyszycie? wyją głodnych psów gromady...
One się gryzą o szczątki biesiady!

« Ja to sprawiłem! Jakem wielki, dumny :
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem.
Jak Samson jednem wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem!

Rzekł, spójrzał w okno i bez czucia pada.
Ale nim upadł, lampę z okna ciska.
Ta trzykroć kołem obiegając błyska,
Nakoniec legła przed czołem Konrada;
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy,
Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy,
I przy tym blasku widać Alfa oczy :
Już pobielały — i światło zagasło.

I w tejże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany...
Z czyjej to piersi? wy się domyślicie;

A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,
Że piersi z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu :
W tym głosie całe ozwało się życie...

Tak strony lutni od tęgiego ciosu
Zabrzmią i pękną: zmięszanymi dźwięki
Zdają się głosić początek piosenki :
Ale jej końca nikt się nie spodziewa.

Taka pieśń moja o Aldony losach;
Niechaj ją aniol harmonii w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Kielcach

OBJAŚNIENIA AUTORA

DO KONRADA WALLENRODA

Str. 8, w. 28. *Maryenburg*, po polsku *Malborg*, miasto obronne, niegdyś stołeczne Krzyżaków, za Kazimierza Jagiellona przyłączone do rzeczypospolitej Polskiej, później oddane w zastaw margrabiom Brandeburgskim, przeszło nakoniec w posiadłość królów pruskich. W sklepach zamku były groby Wielkich Mistrzów; niektóre dotąd ocalały. *Voigt*. profesor królewiecki wydał przed laty historyę Maryenburga, dzieło ważne dla historyi Prus i Litwy.

Str. 8, w. 34, 35. Insignia Wielkich Mistrzów.

Str. 9, w. 4 *Domy*. Tak nazywały się klasztory, albo raczej zamki po różnych krajach Europy rozrzucone.

Str. 9, w. 9. Dawne wyrażenie polskie; *combattre à outrance*.

Str. 11, w. 34, 35 i 36. Wzrok człowieka, powiada *Cooper*, jeśli jaśnieje wyrazem odwagi i rozumu, sprawia mocne wrażenie nawet na dzikich zwierzętach. Przytaczamy z tej okoliczności prawdziwe zdarzenie amerykańskiego strzelca, który skradając się do kaczek, usłyszał szelest, podniósł się, i ujrzał z przestrachem ogromnego, tuż leżącego lwa. Zwierz zdawał się być równie zdziwiony nagłym widokiem człowieka atletycznej postawy. Strzelec nie śmiał dać ognia, mając strzelbę śrótem nabitą. Stał więc nieruchomy, oczyma tylko grożąc nieprzyjacielowi. Lew ze swojej strony, siedząc spokojnie, nie spuszczał oczu ze strzelca: po kilku sekundach

odwrócił głowę i oddalił się powoli, ale zaledwo uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się i znowu powrócił. Znalazł na miejscu nieruchomego strzelca, spotkał się znowu z nim oko w oko, i nakoniec, jak gdyby uznawał wyższość człowieka, spuścił oczy i odszedł. *Bibliothèque Universelle* 1827 *février. Voyage du capitaine Head.*

Str. 12, w. 28. *Grosskomthur*, najpierwszy urzędnik po Wielkim Mistrzu.

Str. 13, w. 22. Kroniki owych czasów piszą o wiejskiej dziewicy, która przybywszy do Maryenburga żądała aby ją zamurowano w osobnej celi, i tam życia dokonała. Grób jej słynął cudami.

Str. 15, w. 1 i 4. W czasie obioru, jeśli zdania były podzielone lub niepewne, zdarzenia podobne, brane za wieszczbę, wpływały na obrady kapituły. I tak *Winrych Knipprode* pozyskał wszystkie głosy, ponieważ kilku braci słyszało jakoby w grobach Mistrzów wołanie trzykrotne: *Vinrice! Ordo laborat*, « Winrychu! Zakon w niebezpieczeństwie. »

Str. 17, w. 33. Zamek Wileński, gdzie był niegdyś utrzymywany *Znicz* to jest ogień wieczny.

Str. 24, w. 2. Hasło uczt zakonnych owego wieku.

Str. 27, w. 27. Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w postaci dziewicy, której zjawienie się, opisane tu według powieści gminnej, poprzedza straszliwą chorobę. Przytoczę w treści przynajmniej słyszaną niegdyś w Litwie balladę. « We wsi zjawiła się morowa dziewica, i według zwyczaju « przeze drzwi lub okno wsuwając rękę, i powiewając czer- « woną chustką, rozsiewała śmierć po domach. Mieszkańcy « zamykali się warownie : ale głód i inne potrzeby wkrótce « zmusiły do zaniedbanie takowych środków ostrożności ; « wszyscy więc czekali śmierci. Pewny szlachcic, lubo do- « stalecznie opatrzony w żywność, i mogący najdłużej wytrzy- « mać to dziwne oblężenie, postanowił jednak poświęcić się « dla dobra bliźnich, wziął szablę zygmuntówkę na której « było *imię Jezus*, *imię Marya*, i tak uzbrojony otworzył « okno domu. Szlachcic jednym zamachem uciął straszydłu « rękę, i chustkę zdobył. Umarł w prawdzie, i cała jego ro- « dzina wymarła : ale odtąd nigdy we wsi nie znano moro- « wego powietrza. » Chustka owa miała być zachowana

w kościele, nie pomnę jakiego miasteczka. Na Wschodzie, przed zjawieniem się dżumy, ma się pokazywać widmo na skrzydłach nietoperza, i palcami wytykać skazanych na śmierć. Zdaje się że imaginacya gminna w podobnych obrazach przedstawić chciała to przeczucie tajemne i tę dziwną trwogę, która zwykła poprzedzać wielkie nieszczęścia lub zgon, a którą nietylko pojedyńcze osoby, ale całe narody częstokroć podzielają. Tak w Grecyi przeczuwano długie trwanie i okropne skutki wojny peloponezkiej, w państwie rzymskiem upadek monarchii, w Ameryce przybycie Hiszpanów it.d.

Str. 31 w. 7. *Walther von Stadion* rycerz niemiecki, wzięty w niewolę od Litwinów, zaślubił córkę Kiejstuta, i z nią potajemnie ujechał z Litwy. Często się zdarzało że Prusacy i Litwini, dziećmi porwani i wychowani w Niemczech powracali do ojczyzny i stawali się najsroższymi Niemców nieprzyjaciołmi. Takim był pamiętny w dziejach zakonu Prusak Herkus Monte.

Str. 42. Obraz tej wojny skreślony podług historyi.

Str. 45, w. 31. W wiekach średnich, kiedy możni dukowie i baroni dopuszczali się częstokroć wszelkich zbrodni, kiedy powaga zwyczajnych trybunałów była za słaba na ich poskromienie, zawiązało się bractwo tajemne, którego członkowie nie znając się między sobą, obowiązali się przysięgą karać winnych, nie przepuszczając własnym przyjaciołom lub krewnym. Skoro sędziowie tajemni wydali wyrok śmierci, uwiadamiano potępionego, wołając nań pod oknami lub gdziekolwiek w jego obecności : *weh! (biada!)*. To trzykroć powtórzone słowo było ostrzeżeniem ; kto je usłyszał, gotował się na śmierć, którą niechybnie a niespodziewanie miał z ręki niewiadomej odebrać. Sąd tajemny nazywał się jeszcze trybunałem *femicznym* (*Vehmgericht*) albo *Westfalskim*. Trudno oznaczyć, kiedy wziął początek ; podług niektórych miał być ustanowiony przez Karola Wielkiego. Zrazu potrzebny, dał następnie powód do różnych nadużyć ; i rządy zmuszone były srożyć się nieraz przeciwko samymże sędziom, nim tę instytucyę całkiem obalono.

Nazwaliśmy powieść naszą historyczną, bo charaktery działających osób i wszystkie ważniejsze wspomnione w nie

zdarzenia, skreślone są podług historyi. Ówczesne kroniki, w cząstkowych rozerwanych spisach nieraz odgadywane tylko i domysłami dopełniane być muszą, by z nich jaką całość historyczną utworzyć. Lubo w dziejach Wallenroda pozwoliłem sobie domysłów, nam nadzieję usprawiedliwić je podobieństwem do prawdy. Podług kronik, Konrad Wallenrod nie pochodził ze sławnej w Niemczech rodziny Wallenrodów, chociaż udawał się za jej członka. Miał być czyimś synem z nieprawego łoża. Kronika królewiecka (biblioteki Wallenroda) powiada : *er war ein Pfaffenkind.* O charakterze tego dziwnego człowieka różne i sprzeczne czytamy podania. Większa część kronikarzy wyrzuca mu dumę, okrucieństwo, pijaństwo, srogość dla podwładnych, małą gorliwość o wiarę, i nawet nienawiść ku duchownym. « *Er war ein rechter Leuteschinder* (Kronika biblioteki Wallenroda). *Nach Krieg Zank und Hader hat sein Herz immer gestanden; und ob er gleich ein Gott ergebener Mensch von Wegen seines Ordens sein sollte, doch ist er allen frommen geistlichen Menschen, Graucl gewesen.* (David Lucas). *Er regierte nichtlang, den Gott plagte ihn inwendig mit dem laufenden Feuer.* » Z drugiej strony przyznają mu ówcześni pisarze wielkość umysłu, męztwo, szlachetność i moc charakteru : jakoż bez rzadkich przymiotów nie mógłby władzy swojej utrzymać śród powszechnej nienawiści i klęsk, które na Zakon sprowadził. Przypomnijmy teraz postępowanie Wallenroda. Kiedy objął rządy Zakonu, sposobna zdarzyła się pora wojowania z Litwą : bo Witold przyrzekał sam Niemców na Wilno prowadzić, i hojnie im posiłki wynagrodzić. Wallenrod jednak zwlekał wojnę, co gorsza, zraził Witołda i tak mu niebacznie zaufał, że ten książe, pogodziwszy się tajemnie z Jagiełłą, nie tylko z Prus uszedł, ale po drodze, wchodząc do zamków niemieckich jak przyjaciel, palił je i załogi wycinał. W tak niepomyślnej zmianie okoliczności, należało wojnę zaniechać, albo bardzo ostrożnie przedsiębrać. Wielki mistrz ogłasza krucyatę, wysypuje skarby Zakonu na przygotowania (5,000,000 mark około miliona złotych węgierskich : summa na owe czasy niezmierna), ciągnie do Litwy. Mógłby Wilno zdobyć, gdyby czasu na uczłach i oczekiwaniach posiłków nie zmarnował. Nadeszła jesień ; Wallenrod zostawiwszy obóz bez żywności, w największym bezładzie uchodzi do Prus. Kronikarze i późniejsi historycy nie mogą zgadnąć przyczyny tak nagłego odjazdu, nie znajdując w ówczesnych okolicznościach żadnego doń powodu. Niektó-

rzy przypisywali ucieczkę Wallenroda pomięszaniu rozumu. Wszystkie tu wymienione sprzeczności w charakterze i postępowaniu naszego bohatera dają się pogodzić, jeśli przypuścimy, że był Litwinem i że wszedł do Zakonu, aby się nad nim zemścił. Jakoż panowanie jego zadało najsroższy cios potędze Krzyżaków. Przypuszczamy, że Wallenrod był owym Walterem Stadionem skracając tylko o lat kilkanaście czas ubiegły między odjazdem Waltera z Litwy i ukazaniem się Konrada w Maryenburgu. Wallenrod umarł roku 1394 śmiercią naglą; dziwne wypadki miały towarzyszyć jego zgonowi. «*Er starb*, powiada kronika, *in Raserei ohne letzte Oehlung, ohne Priestersegen. Kurz vor seinem Tode wütheten Stürme, Regengüsse, Wasserfluthen: die Weichsel und die Nogat durchbrachen ihre Dämme... hingegen wühlten die Gewässer sich eine neue Tiefe da, wo jetzt Pilau steht.* Halban, czyli jak go zowią kronikarze doktor *Leander von Albanus*, mnich, jedyny i niedostępny towarzysz Wallenroda, lubo udawał pobożność, był podług kronikarzy heretykiem, poganinem, a może czarownikiem. O zgonie Halbana nie ma pewnych wiadomości. Niektórzy piszą że utonął; inni, że uszedł tajemnie, lub od szatana porwany został. Kroniki przywodziliśmy po większej części z dzieła Kotzebuego: *Preussens Geschichte. Belege und Erläuterungen.* Hartknoch, nazywając Wallenroda *unsinnig*, bardzo krótką o nim daje wiadomość.

Lubo rodzaj wiersza, użyty w *powieści Wajdeloty*, mało jest znany, nie chcemy wykładać powodów, które nas do tej nowości skłoniły, aby nieuprzedzać zdania czytelników. Za miarę głosek uważaliśmy akcent zachowujący się, w wymawianiu; radziliśmy się też uwag zawartych w ważnem dziele Królikowskiego. Wprawdzie, w kilku miejscach odstąpiliśmy od podanych przezeń prawideł: tłumaczyć się tu jednak z tego względu nie poczytujemy za rzecz stosowną i potrzebną. Oto jest kilku wierszy skandowanie:

— ⏑ ⏑ | — ⏑ ⏑ | — ⏑ | — ⏑ ⏑ | — ⏑ ⏑ | — ⏑
Skąd Li | twini wra | cają | z nocnej wra | cają wy | cieczki

— ⏑ — ⏑ ⏑ | — ⏑ ⏑ | — ⏑ ⏑ | — ⏑ ⏑ | — —
Wiozą | łupy bo | gate | w zamkach i | cerkwiach zło | byte.

— ⏑ ⏑ | — ⏑ ⏑ | — ⏑ | — ⏑ ⏑ | — ⏑ ⏑ | — ⏑
Sama nie | widzi co | robi | wszyscy | mi | to powia | dają.

W budowie wiersza naśladowano hexametr grecki, z tą różnicą, że w miejscu spondeów (— —), używano najczęściej trocheów (— ◡), albo — ⏑. W dwóch lub trzech miejscach daktyle zastąpione są przez *antibacchius* (— — o), którego

— ⏑ ⏑

średnia zgłoska nie jest wyraźnie długą np.: krzyk mojej

— ⏑

matki.

KONIEC

60.-

474054/13577

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
103150

Biblioteka WSP Kielce
0159687

BIBL

KSIĘGI
POLS
PAMIE
P
Mo
D
B
AR
M
PSA
C
K
cent
Na p . . . . . 50 c.

Odbito kilka exemplarzy na papierze welinowym z tytułem kolorowanym . . . . . 5 fr.

Zapisujący się na pierwszą seryę z dwudziestu tomów złożoną w cenie: 6 f., otrzymywać będzie każdy tom franko w miarę ich wychodzenia z pod prasy. — Biorący 100 exemplarzy jednego dzieła, (cena 25 franków,) będzie je miał również franko odsyłane.

KONRAD WALLENROD I WIERSZE RÓŻNE, przez Adama Mickiewicza. Paryż, in-18 1 fr. 50 c.

Nad Księgarnią Luxemburską na pierwszem piętrze, otworzona została wielka czytelnia, w której znaleść można wszystkie dzienniki i przeglądy francuzkie i wielką liczbę zagranicznych: włoskich, hiszpańskich rumuńskich, niemieckich, angielskich, amerykańskich, irlandzkich, węgierskich, polskich, czeskich, serbskich i ruskich.

W druk ZABIEHA, Paryż, N.-D.-d.-Champs, 53